

Zechenter, Witold

Odpowiedź w pisemnej dyskusji

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 17/4, 15-21

1978

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WITOLD ZECHENTER

ODPOWIEDŹ W PISEMNEJ DYSKUSJI

Charakterystyka środowiska dziennikarskiego w okresie międzywojennym. Bardzo trudne pytanie. Można by na ten temat napisać książkę. Zresztą częściowo jest to już w książkach, np. wspomnieniowych — u mnie też, w mym *Uptywa szybko życie*. Przedstawiłem tam sylwetki wielu wybitnych dziennikarzy, przypomniałem wielu już zapomnianych, scharakteryzowałem te środowiska dziennikarskie, które dobrze znałem, bo wśród nich wyrosłem, a potem wśród nich i z nimi pracowałem. Chcąc jednak i na tym miejscu dać odpowiedź ograniczę się do kilku prostych zdań. Środowisko dziennikarskie w Krakowie, bo to znam najlepiej, było w swych organach niezmiernie skłócone, ale poza nimi — niezmiernie koleżeńskie. Dowodem może być fakt, że w Syndykacie Dziennikarzy Krakowskich, w którym jako członek wydziału, a okresowo zastępca sekretarza, zasiadałem od mego powrotu z zagranicy i wstąpienia do redakcji „IKC”, a więc od 1932 r. do wojny, rozdzielano miejsca ściśle według klucza politycznego i przynależności do poszczególnych redakcji. Tak więc dwoma wiceprezesami byli przez całe lata ksiądz i Żyd z „Głosu Narodu” i z „Nowego Dziennika”, ks. J. Piwo-warczyk i red. dr Wilhelm Berkelhammer; oba pisma, chadeckie i syjonistyczne, zwalczały się w codziennych prawie atakach, nieraz nie licząc się ze słownictwem, natomiast na zebraniach obaj ci koledzy byli dla siebie ujmująco grzeczni i wspólnie niejeden raz głosowali, podejmowali wspólne inicjatywy, gdy chodziło o dobro ogólne, dotyczące ogółu dziennikarzy. Wszystkie pisma wychodzące w Krakowie były reprezentowane w zarządzie Syndykatu stosownie do ilości członków w poszczególnych redakcjach, wszyscy brali udział we wspólnych uroczystościach, występowali solidarnie razem — co nie przeszkadzało walce prasowej. Przypuszczam, że podobnie było i w innych środowiskach dziennikarskich, w innych miastach, w których wychodziło więcej dzienników. Solidarność ta jednak miała swe granice — były tzw. „czarne owce”. Wychodziło w Krakowie pisemko szantażowe, pracujący tam nie należeli do Syndykatu i takim „dziennikarzom” nie podawało się ręki. Byli też dziennikarze, którzy mieli na sumieniu to i owo, uważało się ich za nie należących do

dziennikarskiej wspólnoty. Był np. pisarczyk, który kilkakrotnie dostawał publicznie po twarzą, gdyż włączał się w akcje nieetyczne, nie godzące się z etyką dziennikarską, rzucał oszczerstwa na konkurencyjne pisma, bywał parę razy skazany przez sądy państwowe, wśród dziennikarzy uchodził za osobnika niehonorowego — jemu też nie podawano ręki i nie przyjęto go do Syndykatu, choć się o to starał i czasami pracował nawet w krakowskich pismach mniejszego kalibru. Taki osobnik był jednak wyjątkiem.

Inspiracja prasowa. Tego pytania właściwie nie rozumiem. Jeżeli chodzi o moją inspirację to — przyzwyczajony przez wiele lat jako korespondent krakowski do kilku pism w Polsce, a następnie jako korespondent paryski „Nowej Reformy”, „Słowa Polskiego”, „IKC”, „Głosu Literackiego”, „Kina”, „Tygodnika Radiowego” i innych, do pisania o tym, co sam uznałem za stosowne — nie poddawałem się i nie odczuwałem żadnej inspiracji, gdy zostałem stałym współpracownikiem „IKC” i wszystkich przybudówek prasowych w tym potężnym koncernie. Pracowałem jako adiustator działu felietonów i kolumny materiałów z dziedziny literatury, sztuki i nauki, przeglądałem prasę zagraniczną, a poza tym pisałem to, co chciałem. Często zlecał mi szef redakcji pracę poza moją specjalnością, wykonywałem ją jako zaprawę do nauki wszystkich form dziennikarstwa. Zresztą zasadą, chyba słuszną, w redakcji „IKC” było, że „wszyscy robili wszystko”. Chętnie więc nawet sam zgłaszałem się, nie czekając na zlecenie, do pójścia czy wyjazdu jako sprawozdawca, np. na jakąś wielką budowę, chociaż zasadniczo zatrudniony byłem w pionie kulturalnych zagadnień i do mnie należały sprawy z tej dziedziny, a nie z budownictwa, z zagadnień miejskich, wypadków itp. Parę razy zwrócił się do mnie naczelny „IKC” Marian Dąbrowski podsuwając mi jakiś temat, przy czym zaznaczał, że zależałoby mu, abym właśnie ja to opracował. Pamiętam, że w jakimś jednym wypadku odmówiłem po namyśle, gdyż nie czułem się w tym silny; chodziło o spory reportaż z kół przemysłowych. Oczywiście zwracali się do mnie także poszczególni naczelni — dr J. Lankau ze „Światowida”, J. Leon z „Asa”, A. Wasilewski z „Wróblu na dachu” — z „zamówieniami”. Głównie chodziło o literackie utwory w związku z jakąś rocznicą czy inną okazją, a w „Wróblach” o satyrę na określony temat w związku z planowanym na ten właśnie temat numerem; chętnie wykonywałem „zamówienia”, leżały bowiem w zakresie moich umiejętności i zależało mi na podkreśleniu mego literackiego charakteru w pracy dziennikarskiej. Nacisków politycznych czy gospodarczych nie odczuwałem, o roli biur prasowych, rzeczników itp. nic nie umiałbym powiedzieć.

Stosunki wydawca-redaktor; stosunki wewnątrz-redakcyjne. Z dwoma pismami w Krakowie miałem przed wojną kontakt służbowy: krótko, niecały rok (1924—1925) z „Głosem Narodu”

i blisko osiem lat z „IKC”. Otóż „Głos Narodu” był organem chadeckim, wydawanym przez spółkę kilku osób oraz przez rzeczników kurii arcybiskupiej, a redaktorem był niezwykle światły dziennikarz, Jan Matyasik. Pomiedzy wydawcami a naczelnym redaktorem trwały wciąż utarczki, których echa przedostawały się do współpracowników. Ja zacząłem tam pracę jako uczeń eksternistyczny VII klasy gimnazjalnej, a następnie jako uczeń zwykły VIII, maturalnej klasy: rano byłem w gimnazjum (im. Króla Jana Sobieskiego), a po południu, jako „pan redaktor”, od 14 do 20 pracowałem w redakcji; prowadziłem dział wiadomości z kraju (z agencji i za pomocą nożyczek z innych pism) oraz dział recenzji pism literackich i naukowych, z polityką nie miałem więc nic wspólnego, a zupełnie nic z wydawcami, natomiast w wielkiej przyjaźni żyłem z red. Matyasikiem, który nieraz „puścił farbę”, jeśli chodzi o jego spory i utarczki z wydawcą. Matyasik kochał poezję i drukował wszystkie wiersze, jakie mu się podobały, niezależnie, kto je napisał. Były więc wśród nich wiersze, jakie wyszły spod pióra nie tylko bardzo wtedy przez prawicę i koła klerykalne pieszczonego Zegadłowicza, nie tylko tak wybitnego pisarza prawicy, jak K. H. Rostworowski, nie tylko utwory poetów o marce prawicowej, jak Waškowski, Gałuszka, czy też obojętnych politycznie, jak J. Stępowski, J. Janowski i wielu innych — ale były też utwory osób o nazwiskach wskazujących na ich pochodzenie żydowskie, a także poetów o wyraźnie zaznaczonym obliczu lewicowym. O takie właśnie utwory zamieszczane na łamach organu chadecji miał Matyasik nieprzyjemności, awantury, parę razy nawet zagrożenia utraty posady, sam też wzburzony groził, że odejdzie, w końcu odejść musiał. Dziwny to był człowiek, orientację miał na pewno prawicową, ale w stosunku do poezji znikwały u niego wszelkie granice poglądów. Umiał na pamięć olbrzymią ilość wierszy, ulubionym poetą był Słowacki, ale cytował ze współczesnych Tuwima, Słonimskiego i Leśmiana, a mnie zezwalał na pisanie pozytywnych recenzji nawet z „Wiadomości Literackich”, które wtedy były czerwoną płachtą na byka zaśniedziałych przesądów klerykalnego grajdołka. Taki to był redaktor dziennika, walczący z wydawcami o poezję i wysoki literacki poziom pisma, poza tym przecież partykularnego i wstecznikowskiego. Całkiem inną atmosferę zastałem w „IKC”, gdzie wydawca był zarazem naczelnym redaktorem, żadnych więc nie było i być nie mogło sporów i wstrząsów. Stosunki wewnątrzredakcyjne w obu redakcjach były znakomite. W tej pierwszej „mojej” redakcji byłem czymś w rodzaju beniaminka, byłem przecież jeszcze uczniem szkoły średniej, pomagali mi wszyscy, nie tylko koledzy redakcyjni, ale również zecerzy, nauczyłem się tam wszystkiego od a do z, chociaż już przedtem warsztat dziennikarski i wewnątrz drukarni nie miały dla mnie wielu tajemnic. W „Głosie Narodu” pracowała garstka osób, była to jedna rodzinka. W „IKC”, w redakcji wszystkich pism koncernu pracowała setka osób, nie było możliwości takiego życia się ze wszystkimi, były różne animozje,

ale wyodrębniła się grupa młodszych, którzy trzymali się razem; byli to raczej ludzie ze świata sztuki, a sporo pracowało w redakcjach koncernu pisarzy, malarzy, naukowców. Ta grupa trzymała się razem, a kontaktowali się z nią także koledzy starsi, którzy również kiedyś mieli ciągoty artystyczne (pełno takich, jak wiadomo, jest w dziennikarstwie, tak zbliżonym przecież do świata sztuki). Większych rozbieżności w „rodzince kurierkowej”, jak się sami nazywaliśmy, nie przypominam sobie; niezależnie od wielkiej skali poglądów politycznych, bo w „IKC” pracowali — dzięki liberalnym poglądom naczelnego redaktora i wydawcy — nawet komuniści, lewicowcy wszelkich odcieni, aż do równie wszelkich odcieni prawicowców, byliśmy chyba solidarni; nieliczne odstępstwa od tej solidarności wewnątrzredakcyjnej były ujemnie oceniane i do dziś przetrwały z tamtych czasów pewne animozje na tym tle u jakże nielicznej już garstki ludzi, którzy od tamtych lat przeżyli.

Terytorialny i społeczny zasięg dzienników. Pracowałem w piśmie, które miało najwyższy nakład w Polsce i było dostępne we wszystkich punktach sprzedaży gazet w całym kraju, a także we wszystkich większych miastach Europy, trudno mi więc coś pisać o terytorialnym zasięgu. Społeczny zasięg, o ile dobrze rozumiem to określenie, był także ogromny, każde hasło rzucone przez redakcję, znajdowało olbrzymi odzew, a były to hasła o składki na rzecz jakichś akcji społecznych, budowy szkoły w jakiejś zapadłej wiosce, mostu, domu ludowego itp., albo prośby o pomoc materialną czy też w uzyskaniu zajęcia dla kogoś, kto przedstawił odpowiednie dowody warunkujące mu pomoc ze strony redakcji. Takich akcji było mnóstwo i zawsze były skuteczne; w dziedzinie akcji na cele narodowe, społeczne, kulturalne „IKC” miał wielkie zasługi. Jeżeli chodzi o zasięg dzienników w ogóle, to chciałbym podkreślić jedną, charakterystyczną cechę. Otóż przed wojną istniał w Krakowie spory sklep przy ul. Szczepańskiej, po pierwszej wojnie, pod firmą „Hopcas i Salamonowa” (znałem tego pana Hopcasa, o którym mówiliśmy w domu, że jest on jedynym rymem do obcasa), a następnie przejęty przez „Ruch”, i w tym sklepie, niewielkim, o ciemnym i głębokim zapleczu w postaci pomieszczenia pełnego półek, regałów, można było dostać bez trudu gazety z całej Polski, i to nie tylko bieżące numery z datą aktualną, ale także zaległe, sprzed tygodnia i więcej. Pamiętam, że nieraz tam kupowałem gazety ze Lwowa, Torunia, Warszawy, z różnych miast i nieraz po upływie tygodni. Jak to wtedy załatwiano, nie wiem, ale fakt, że tak było, co w porównaniu z dzisiejszymi trudnościami w otrzymaniu zaległego numeru jakiegoś pisma wydaje się wręcz nierealne. Inna rzecz jeszcze: nie tylko w tym sklepie, ale w różnych kioskach w Krakowie można było kupić gazety z innych miast, nie było — nonsensownego, moim zdaniem — ograniczenia kolportażu gazet do tzw. terenu, w jakim się ukazują, i braku ich w innych województwach.

Pogląd na rolę prasy codziennej w życiu politycznym i kulturalnym Polski w latach 1918—1939. Generalnie rzecz biorąc nie była ta rola, jak sądzę, inna niż dzisiaj. Prasa była więcej zróżnicowana, były organy wielu partii i stronnictw, które bardzo różniły się od siebie, były organy nawet prywatnych osób czy wąskich grup, spółek itp., oblicze więc prasy było bardziej barwne, mniej jednolite, niż to obserwujemy dzisiaj. Także sprawom kulturalnym prasa ówczesna poświęcała chyba więcej miejsca niż dzisiejsza, więcej było dodatków niedzielnych, które miały prawie wszystkie pisma; wiersze, nowele ukazywały się nawet w numerach zwyczajnych, codziennych, nie czekając na okazję, na niedzielę, na jakieś święto. Dzienniki zabiegały o dobre pióra literackie i publicystyczne bardziej, niż to się obserwuje dziś, większa też liczba pisarzy bywała zatrudniona na etatach, na stałych ryczałtach lub też jako felietoniści, stali korespondenci itp. Ale na kształtowanie opinii społeczeństwa chyba tyle samo wpływała ta przedwojenna prasa, na ile wpływa dzisiejsza, sprawy zaś kulturalne, które w większej mierze załatwiała prasa codzienna przed wojną, załatwiają dziś liczniejsze niż przed wojną czasopisma kulturalne, centralne czy regionalne.

Ocena prasy polskiej lat 1918—1939 w porównaniu z prasą europejską. Przebywałem przez kilka lat przed wojną we Francji i z prasą francuską miałem stały kontakt przed wyjazdem i po powrocie (m. in. w „IKC” prowadziłem pewnego rodzaju przegląd prasy francuskiej, wynotowując z niej ciekawostki, zwłaszcza kulturalne), mogę więc pewne porównanie przeprowadzić w stosunku do prasy francuskiej, jako tej, którą znałem najlepiej z prasy zagranicznej. Otóż mym zdaniem dorównywał prasie francuskiej jedynie „IKC”. Nie jest to jakaś zadawniona stronnicość. Prasa francuska była obfita pod względem zawartości kolumn, takim był u nas właśnie „IKC” (oraz „Kurier Warszawski”); było w niej „co czytać”, nieraz numery były tak grube, że nie sposób było przeczytać całego numeru w ciągu jednego dnia, w wolnych chwilach oczywiście. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsza jest strona informacyjna dziennika, po to przecież powstała i po to istnieje prasa, by informować. Otóż w polskiej prasie przedwojennej najwięcej i najlepszych, najszybszych informacji miał „IKC”. Koncern krakowski miał korespondentów nie tylko we wszystkich miastach wojewódzkich w Polsce, miał w nich nawet całe, nieraz wieloosobowe oddziały, ale korespondentów miał dosłownie w całym świecie. Niezależnie od tego abonował — poza, oczywiście, wszystkimi agencjami polskimi — biuletyn wielkich agencji europejskich, a także „United Press” z Ameryki, z Warszawą połączona była krakowska redakcja bezpośrednimi dalekopisami, co wtedy było ewenementem. Tymi dalekopisami donoszono do Krakowa najważniejsze informacje, mniej ważne dochodziły

drogą pocztową w serwisach agencyjnych. (Poczta wtedy godna była tego miana: list z moimi materiałami prasowymi, wrzucony przeze mnie w Paryżu do wagonu pocztowego pociągu na Gare du Nord wieczorem w piątek, doręczany był regularnie do redakcji w Krakowie w niedzielę rano i drobne wiadomości w nim przesłane ukazywały się w druku w numerze poniedziałkowym, a felieton czy artykuł w numerze wtorkowym. Ponieważ nie byłem korespondentem politycznym, nie musiałem korzystać z telefonu czy depeesz, wystarczył zwykły list wrzucony do pociągu, by wiadomości, felietony, wiersze, wszystko, co pisywałem, ukazywało się w ciągu paru najbliższych dni po wysłaniu). „IKC” miał codziennie siedem mutacji, które wychodziły co dwie-trzy godziny od godziny 17 do 6, każda zawierała najnowsze wiadomości. Praca w redakcji trwała właściwie bez przerwy, dzień i noc, poszczególni redaktorzy zmieniali się na dyżurach poza stałymi godzinami pracy, w których pracował pełny sztab redakcyjny, a drukarnia pracowała jak zegarek, ekspedycja miała ściśle europejski rozmach, samochody odjeżdżały z partiami wydrukowanych numerów na dworzec z regularnością podobną tylko do regularności i punktualności pociągów, które wtedy naprawdę były punktualne. Drukarnia, tabor samochodowy, pociągi — to wszystko było zgrane co do minuty — tak właśnie pracowały pisma paryskie: mutacje co dwie godziny, regularny transport. Wygląd „europejski” zawdzięczał też „IKC” licznym fotografiom, jakie zamieszczał od pierwszej do ostatniej strony, wielu kolumnom ogłoszeń, kolorom, jakie stosował nie tylko przy nagłówku. Inne pisma krakowskie wyglądały przy nim mizernie; cieniutkie, jednobarwne, bez klisz, no i przede wszystkim bez tej ogromnie rozbudowanej sieci własnych korespondentów w całym świecie i dostawy wiadomości z najważniejszych agencji światowych. Działał też w „IKC” nastuch radiowy specjalnie rozbudowanego studia odbiorczego, tą drogą także wpływały do numeru najciekawsze wiadomości w bardzo szybkim czasie. Był też „IKC” najczęściej cytowaną w pismach zagranicznych polską gazetą, a jego własny serwis fotograficzny (istniała przy „IKC” własna agencja fotoreporterska „Światowid”) był wykorzystywany, bodaj też abonowany, przez czołowe czasopisma zagraniczne. To, co powyżej napisałem, nie oznacza, jakoby wielu innych pism w przedwojennej panoramie naszej prasy nie uważał za stojące na wysokim poziomie. Owszem, i tzw. „prasa czerwona” („czerwoniaki”) i katowicka „Polonia”, dwa dzienniki poznańskie — „Kurier” i „Dziennik” (redagowany przez min. Winiewiczę; drukowałem w tym „Dzienniku Poznańskim” w połowie lat trzydziestych spory cykl felietonów paryskich), na swój sposób lwowski „Wiek Nowy” czy wileńskie „Słowo” — były to dzienniki stojące na wysokim poziomie jako organy informacji, a także placówki kulturalne; były też ciekawe lokalne wydawnictwa, jak koncern Ksyckiego w Żninie czy wydawnictwa Kulerskiego w Grudziądzu. Niemniej — moim zdaniem — jedynie krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny” miał

euuropejski charakter, który warunkowała jego objętość, szybkość i wielorakość informacji, rozmach administracyjny i zasięg na cały świat, wiadomo bowiem, że jako jedyne pismo polskie można było „IKC” kupić w kioskach ulicznych nie tylko w Paryżu, Londynie czy Rzymie, ale w Nowym Jorku i nawet w Australii. W mej opinii nie zawieram oczywiście żadnych ocen wartości politycznych tego pisma czy też niektórych aspektów poszczególnych jego wystąpień, na których analizę nie ma tu miejsca i o co w niniejszej ankiecie nie chodzi.

Reasumując pragnę wyrazić przekonanie, że chyba więcej interesującego materiału dałaby dyskusja bezpośrednia, a nie zbieranie opinii drogą pisemną. W takiej dyskusji musieliby jednak wziąć udział dobrze dobrani ludzie, którzy by o przedwojennym dziennikarstwie mogli mówić w pełnym poczuciu tego, że niczego z tamtej swej działalności dziś ani wstydzić się nie muszą, ani niczego ukrywać.